

Akademia Sukcesu czyli szkoła, która uczy

8 sierpnia 2017

Bez zdjęć opis tych szkół mógłby sugerować, że jesteśmy w Singapurze albo w Japonii. Artykuł w „New York Timesie” nie pozostawiał jednak wątpliwości. Jesteśmy w Harlemie, dzielnicy Nowego Jorku. Harlem to od początku XX wieku skupisko ludności afro-amerykańskiej. W ostatnich latach skład mieszkańców Harlemu zaczął się gwałtownie zmieniać i dziś czarni stanowią nieco mniej niż połowę, na ulicach równie często słychać język hiszpański jak angielski. Wysoki poziom bezrobocia, duża przestępczość. Wyniki w szkołach gorsze niż w innych dzielnicach, młodzi ludzie mają tu większe szanse trafienia do więzienia niż na uniwersytet.

Kristin Jones, 23, uczy czwarte klasy w szkole Success Academy Harlem 4. Codziennie, Kristin Jones wsiada o 5:30 na prom w Staten Island, gdzie mieszka z siostrą i dwojgiem rodzeństwa i jedzie do Manhattanu. Od dziecka Kristin Jones zawsze wiedziała, że chce być nauczycielką. Przyklejała na lustrze kartki papieru, z których robiła prowizoryczną tablicę i udawała, że jej kuzyn i młodszy brat są jej uczniami.

W 2005 roku Eva Moskowitz ubiegała się o stanowisko prezydenta Manhattanu. Głównym hasłem jej kampanii była radykalna zmiana polityki oświatowej. Twierdzi się, że o jej przegranej zadecydowała akcja negatywna federacji związków zawodowych nauczycieli spowodowana jej ostrą krytyką tych związków. Po przegranej prywatny biznes zaproponował jej założenie szkoły. Niebawem powstała pierwsza szkoła pod nazwą Akademia Sukcesu.

Sama Eva Moskowitz wychowała się w Harlemie, tam chodziła do szkoły, w której, jak później napisze, połowa nauczycieli była całkowicie niekompetentna. Kiedy dotarła na uniwersytet, była krytykowana za nieznaną ortografię i poprawnego budowania zdań. Doktoryzowała się z historii Stanów Zjednoczonych, wykładała później historię ruchów feministycznych. Zajmowała

się teorią komunikacji i kultury masowej, by na przełomie tysiącleci zostać dyrektorem programu ReadNet, zajmującego się analizą umiejętności czytania i pisanie przez dzieci w szkołach podstawowych.

Eva Moskowitz stawia sprawę brutalnie: Ameryka przegrywa z innymi krajami na polu masowej oświaty. Bogaci rodzice oddają swoje dzieci do elitarnych prywatnych szkół, które ignorują durne nowoczesne teorie pedagogiczne. Rodzice z klasy średniej pakują ogromne pieniądze w korepetycje, żeby ich dzieci nauczyły się poza szkołą tego, czego nie uczy ich szkoła, dzieci z ubogich rodzin wydane są na pastwę złego systemu i złych nauczycieli. Dziecko, które nie nauczy się w szkole czytania i pisanie, jest skazane w życiu na przegraną.

Akademia Sukcesu ma po ośmiu latach sieć 43 szkół w Harlemie. Uczniowie są przyjmowani w drodze losowania, ponieważ jest wielokrotnie więcej chętnych niż miejsc. We wszystkich szkołach publicznych Nowego Jorku w ubiegłym roku tylko 29 procent uczniów zaliczyło test na czytanie, a 35 procent test z matematyki. W szkołach Akademii Sukcesu 64 procent uczniów zaliczyło test na czytanie i 94 test z matematyki. Akademia Sukcesu ma poparcie burmistrza Nowego Jorku, zbiera miliony dolarów dotacji i ściąga na siebie gromy. Dwa lata temu Eva Moskowitz opublikowała książkę pod tytułem „Ta misja jest możliwa” (Mission Possible), a krytycy pytają, za jaką cenę?

Pytanie jest zasadne, ani nauczyciele, ani dzieci nie mają w Akademii Sukcesu lekko. Zaczniemy od nauczycieli. Nie ma związków zawodowych, praca przeciętnie 11 godzin dziennie przy analogicznym wynagrodzeniu jak w innych szkołach. Nauczyciel jest oceniany za wyniki uczniów. Większość nauczycieli to ludzie młodzi, często bezpośrednio po studiach. Staż się nie liczy, dobry nauczyciel może zostać dyrektorem szkoły w wieku dwudziestu pięciu lat. Szkoły Akademii Sukcesu mają najwyższą rotację nauczycieli, którzy albo nie zgadzają się z metodami pedagogicznymi, albo nie wytrzymują presji.

Szkoła wymaga bezwzględnej dyscypliny. Uczniowie nie tylko są jednolicie ubrani, ale mają podczas lekcji siedzieć w ławkach w określony sposób, mają obowiązek śledzić nauczyciela. Porządek obowiązuje również na korytarzach. Drobne wykroczenia powodują natychmiastowe zawieszenie ucznia i wezwanie rodziców. Współpracę z rodzicami uważa się za sprawę fundamentalną. Również postępy w nauce są systematycznie omawiane z rodzicami, a kontakt elektroniczny jest niemal codzienny.

Szkolny plac zabaw.

Znacznie większą krytykę niż rygor dyscypliny budzi stała prezentacja rezultatów każdego ucznia. Nazwiska uczniów z niedostatecznymi ocenami pojawiają się na wywieszonych na korytarzach wykresach w czerwonym polu. Za dobre wyniki są nagrody, również materialne, złe wyniki powodują dostanie się do "akademii dodatkowego wysiłku" – zamiast zabaw w kółkach zainteresowań czy w hali sportowej, dodatkowe zajęcia i wkuwanie.

Stres? Ogromny. Podczas testów zdarza się, że uczniowie się moczą. Te rezultaty nie są za darmo.

Kate Tylor, autorka artykułu w „New York Timesie” jest rozdarta między podziwem i przerażeniem. Taktyka w której uczniowie są poddani surowej dyscyplinie, narażeni na stres i upokorzenia, a równocześnie otoczeni opieką, nagradzani za każdy sukces, mający zawsze dostęp do nauczycieli, gdzie szkoła i dom stanowią jedność, najwyraźniej działa. Jeśli są to koszty wygrzebania się z dna i zdobycia szans w dorosłym życiu, to być może warto dzieci na te koszty narażać. Rodzice walczący o miejsca dla swoich dzieci w tych szkołach wydają się nie mieć wątpliwości. Nie wszyscy, niektórzy przenoszą swoje dzieci do publicznych szkół. Zwolnione miejsca w klasach zajmują inni, ale tylko do czwartych klas. W starszych klasach nie uzupełnia się stanu klas, bo zdaniem dyrekcji większość dzieci nie miałaby już szans na wyrównanie poziomu.

Poszczególne klasy noszą nazwy uniwersytetów, które ukończyli ich wychowawcy plus roku, w którym uczniowie sami powinni ukończyć uniwersytet. Po kilku latach zazwyczaj tego pierwszego wychowawcy już dawno nie ma. Albo awansował, albo zmienił pracę.

Nieustanne współzawodnictwo wśród uczniów, nieustanne współzawodnictwo wśród nauczycieli. Każdy ma dostęp do komputerowego rankingu nauczycieli i do rankingu uczniów.

Ten system ocen jest zdaniem dyrekcji konieczny, żeby śledzić, które metody są skuteczne.

“Nigdy nie mówię, jesteś 23 w rankingu – mówi 26-letnia Lisa Sun, dyrektorka Akademii Sukcesu z północnego Harlemu, raczej dyskutuję z nauczycielką gdzie jej uczniowie mają braki, które ujawniają się w wynikach. To nie jest wina uczniów, to problem nauczycieli, więc musimy z nimi rozmawiać o tym, co musi być zrobione, żeby poprawić sytuację”.

Nauczyciel, który ma słabe oceny, albo nie umie utrzymać dyscypliny, może być w środku roku przesunięty do innej pracy, na przykład jako asystent dający indywidualne korepetycje poza klasą szkolną.

Na pytanie, czy ta drakońska dyscyplina nie jest przesadna, Eva Moskowitz odpowiada: „Na dobry uniwersytet nie idzie się ot tak – to wymaga ciężkiej pracy, dyscypliny i silnej etyki pracy oraz, tak, dobrych wyników na testach. Być może, niektórzy ludzie preferują chaos – dodaje – My nie.”

W systemach edukacyjnych rezultaty tak naprawdę widzimy po latach, a i tak będą spory o interpretację danych. Pierwsi uczniowie Akademii Sukcesu są nadal w gimnazjach. Oceniający zwracają uwagę na fakt koncentracji uwagi na angielskim (nie zatrudnia się praktycznie rzecz biorąc nauczycieli, dla których angielski nie jest pierwszym językiem), na sprawność czytania i pisanie, matematykę i nauki ścisłe. Inne przedmioty są często lekceważone.

Niezależnie jak na to patrzeć, wyniki uczniów tych szkół są o niebo lepsze, niż w szkołach publicznych, na ile słuszne jest twierdzenie, że Akademia Sukcesu pozbywa się najgorszych uczniów? Ewa Moskowitz twierdzi, że czasem rodzice decydują się na przeniesienia dziecka również dlatego, że szkoła jest wymagająca wobec rodziców. Dla niektórych rodziców te stałe kontakty są zbyt uciążliwe. Mówi o kulturze największego wysiłku oczekiwanej od nauczycieli, od dzieci i od rodziców.

Jak można się spodziewać najbardziej krytyczne głosy padają ze strony byłych nauczycieli Akademii Sukcesu. Eva Moskowitz zgadza się, że większość odchodzących może mieć zadrę, „pewnie nie bardzo lubili swoją pracę i nie bawiło ich uczenie dzieci, a my naprawdę nie możemy mieć tu ludzi, którzy nie kochają tej pracy”.

Eva Moskowitz w klasie szkolnej w 2008 roku.

Młodzi ludzie, którzy decydują się na pracę w tych szkołach, nie oszczędzają się i chcą rzeczywiście sukcesu dla swoich uczniów.

Lektura tego artykułu przypomniała mi dyskusje prowadzone jeszcze w latach 1980. ze szwedzkimi nauczycielami przerażonymi kierunkiem reform w oświacie pod wpływem pedagogiki pokolenia hippisów. Idea partnerskich relacji z uczniami, porzucenia dyscypliny na rzecz swobody, rozluźnienia relacji szkoły z rodzicami i porzucenia oczekiwań pod adresem uczniów, szła w parze z tyranią związków zawodowych, coraz skuteczniej chroniących nauczycieli nienadających się do pracy w szkole. Twierdzenia, że do partnerstwa dziecko trzeba przygotować, że szkoła ma przede wszystkim uczyć, że to po prostu nie działa i w efekcie robi się krzywdę dzieciom oraz państwu, które z taką oświatą przegra konkurencję z innymi o jakość gospodarki opartej na wiedzy, odrzucane były jako brak zrozumienia, czym jest prawdziwy postęp w oświacie.

W późniejszych latach byłem świadkiem prób naprawienia oświaty brytyjskiej. Jak powiadał jeden z brytyjskich polityków, gdyby

brytyjskie szkolnictwo było poddane prawom biznesu, zbankrutowałyby natychmiast. Próby oparcia systemu oświaty na wynikach pracy nauczyciela zostały jednakże storpedowane przez związki zawodowe nauczycieli, o których niektórzy twierdzili, że są największymi wrogami dzieci, nauczycieli z prawdziwego zdarzenia i państwa.

Czytając ten artykuł zastanawiałem się oczywiście, czy oddałbym swoje dziecko do takiej szkoły? Jestem pewien, że mając do wyboru szkołę publiczną ze złymi wynikami, brakiem dyscypliny i tłumem nauczycieli, którzy nigdy nie powinni trafić do oświaty, nie zastanawiałbym się ani przez moment. Nie znaczy to, że bym się nie bał i że lekceważyłbym głosy krytyki. Po prostu wolałbym dziecko narazić na stres walki niż na stres borykania się z mazią w instytucji, która ciągnie uczniów w dół, zamiast ich pchać w górę.

“Synowie Shakeyi Matthew przed pójściem do Akademii Sukcesu Harlem 4 chodzili do Szkoły Publicznej nr 165 przy West 109th Street. Pani Matthew, (33-letnia matka dwóch chłopców), mówi, że jej młodszy syn w przedszkolu bardzo się starał, ale nauczyciel wydawał się być bezradny. Teraz, w pierwszej klasie Akademii Sukcesu czyta na poziomie drugiej klasy. Shakeya Matthew mówi, że jest znacznie częściej w kontakcie z nauczycielami synów niż w szkole publicznej. Nauczyciele z Akademii dzwonią lub przysyłają wiadomość w ciągu dnia albo wieczorem z informacją jak jej synowie sobie poradzili na teście, czy w innych sprawach. Wydaje się, że oni naprawdę wkładają więcej wysiłku żeby zajść dalej.”

Oczywiście jeden artykuł nie może być podstawą do sensownych wniosków. Przerzuciłem pół setki innych artykułów, z których znaczna część była krytyczna lub wręcz ziejąca jadem nienawiści. Jeden z nich zaczynał się od stanowczego stwierdzenia, że Eva Moskowitz wcale nie troszczy się o dzieci afro-amerykańskie i latynoskie, że jest tylko żądna władzy, a jej nauczyciele są przepłaceni, zbyt młodzi, przepracowani i niedoświadczeni. (Miałem wrażenie, że ten tekst czytałem już

pół wieku temu, więc go nie kontynuowałem.) Są również dostępne analizy robione przez fachowców. W jednej z nich, zrobionej przez University of Pennsylvania w końcowym raporcie czytamy m.in. „Podsumowując stwierdzamy, że dane wykazują statystycznie znaczące i edukacyjnie istotne efekty związane z edukacyjnym programem Harlem Success Academy”.

Autorstwo: Andrzej Koraszewski

Źródło: [„Listy z naszego sadu”](#)